

Oszałamiający rozmachem chiński bestseller,
który stał się wydawniczym fenomenem w USA

CIXIN LIU

KONIEC ŚMIERCI



FERRELL

Finis coronat opus

nimfa bagienna



Po długim i nerwowym oczekiwaniu w końcu dopadłam „Koniec śmierci” – tom zamykający trylogię Cixina Liu „Wspomnienie o przeszłości Ziemi”. Bardzo, naprawdę bardzo chciałabym napisać, że ostatni tom jest prawdziwym ukoronowaniem cyklu, ale niestety muszę się ograniczyć i tytuł korony przyznać jedynie ostatnim stu, no może stu pięćdziesięciu stronom. To wątpliwy komplement, jeśli weźmie się pod uwagę, że dzieło liczy grubo ponad 800 stron. Cóż, po raz kolejny zadziałała zasada, że w dzisiejszych czasach im mniej autor ma do powiedzenia, tym więcej arkuszy autorskich potrzebuje, by opowiedzieć historię. Smędzi przy tym i nudzi niepomnie, popełniając przy okazji wszystkie grzechy śmiertelne, jakie tylko autor powieści rozrywkowej popełnić może. Gdyby nie interesujące wizje naukowe i okołonaukowe, niechybnie bym dzieło odstawiła na półkę, by tam w spokoju pokrywało się kurzem¹. Za to wspomnianą już wcześniej końcówkę łyknęłam niczym gęś kluski. Autor poszedł na całość. Budując wizję wielowymiarowego wszechświata, odleciał totalnie, a ja z przyjemnością odleciałam wraz z nim. Odniosłam wrażenie, że cała książka była dla Cixina Liu jedynie pretekstem, wprowadzeniem do przedstawienia tej wizji. Wizji szalonej, objechanej, ale jednocześnie dobrze osadzonej na fundamencie współczesnej fizyki.

Fragmety, w których autor buduje obraz wszechświata, tłumaczy jego działanie, niejako „podprowadzając” ostateczną scenę, są naprawdę dobre i wciągające. Gorzej z resztą.

Postaci „Końca śmierci” specjalnie wyraziste nie są. Co ja gadam?! Jakie tam „niespecjalnie”! Są blade, nijakie i zupełnie czytelnikowi obojętne, a gdy już któryś z bohaterów zaczyna przejawiać jakieś zaczątki indywidualizmu, gdy już nas zainteresuje, autor szybko usuwa go ze sceny. Od początku do końca uchowała się tylko jedna osoba – ekspertka techniczna Cheng Xin. Niestety, mówimy o postaci najmniej udanej ze wszystkich. Jest równie fascynująca co rozwielitka. Chociaż nie, po namyśle dochodzę do wniosku, że rozwielitka jest ciekawsza. Pamiętam z biologii. Gwoli ścisłości, mamy jeszcze bohatera zbiorowego – całą ludzkość, ale powiedzmy sobie szczerze, trudno jest się przejąć całą ludzkością *en masse*.

Z akcją też nie jest wiele lepiej. Być może myślę w sposób tradycyjny, ale przywykłam do tego, że powieść ma jakiś wątek przewodni. Wszystko jedno jaki: miłosny, kryminalny, sensacyjny. Coś, co niczym kręgosłup utrzymuje cały organizm w kupie. Im mocniejszy kręgosłup, tym sprawniejszy organizm. Oczywiście bez kręgosłupa też się da – bezkręgowce jakoś sobie radzą. Taka dżdżownica na przykład daje radę. Kłopot w tym, że nie jestem fanką dżdżownic, mimo że doceniam ważną rolę,

jaką odgrywają w ekosystemie. Wolę podziwiać kręgowce. „Koniec śmierci” jakąś tam akcję ma. Pretekstową. Poszarpaną. Autor nie sili się jednak na zachowanie jakiegokolwiek ciągłości wydarzeń. Serwuje czytelnikowi migawkę, a gdy ten już się jakoś wciągnie w wir wydarzeń (albo i nie), pisarz kończy historię, hibernuje bohaterów na kilkaset lat, by za czas jakiś znowu obudzić ich na chwilę, a potem (a jakże!) znowu uśpić. Robi się z tego straszna czkawka. I tak, czkając i potykając się, docieramy w końcu do... Stop! Nie w powiem. Nie będę spoilerować. Zadowolę się ogólnym powtórzeniem, że docieramy do naprawdę udanego zakończenia.

Właściwie nawet w tym tak chwalonym przeze mnie zakończeniu trafił się spory zgrzyt. Tym razem językowy, w postaci pleonazmu „kartka papieru”. Żeby trafił się raz, nie byłoby o czym wspominać, ale upiórek ten straszy przez kilkadziesiąt stron, pojawiając się uporczywie co kilka akapitów. Przyznam, że w pewnej chwili zaczęłam się wahać, czy słusznie kręcę nosem. Aż sprawdziłam w słownikach (kilku dla pewności), czy aby coś się w tym względzie nie zmieniło. Język jest zmienny. Może o czymś nie wiem? Ale nie, wszystkie autorytety nadal zgodnie twierdzą, że „kartka papieru” to błąd. Aczkolwiek o to potknięcie akurat trudno winić autora.

Szkoda, bardzo szkoda, że „Koniec śmierci” nie został potraktowany przez redaktora lub autora nożyczkami (metaforycznymi). Gdyby tak zamiast ośmuset trzydziestu książka liczyła sobie jakieś czterysta stron, byłaby godnym zwieńczeniem cyklu. Niestety, jest tylko rozwodnionym czytadłem. Dobrze chociaż, że końcówka autorowi wyszła, bo to właśnie koniec pozostaje najdłużej w pamięci czytelnika. Wszak *finis coronat opus*.

Agnieszka Chodkowska-Gyurics

Tytuł: „Koniec śmierci”

Autor: Cixin Liu

Tłumacz: Andrzej Jankowski

Wydawca: Rebis 2018

Stron: 836

Cena: 47,90 zł